

ALEKSANDER KOWARZ

RYDWAN BOGÓW



RW2010



ALEKSANDER KOWARZ

RYDWAN BOGÓW

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Aleksander Kowarz 2016

Okładka Copyright © Tomasz Golec 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-173-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

PROLOG

Październik tego roku był wyjątkowo piękny i ciepły. Prawdziwa złota polska jesień. Chmury i ulewy nadciągnęły dopiero pod koniec miesiąca, jakby pozwalając cieszyć się tym przedłużeniem lata w zamian za deszczowy lipiec.

Noce za to były zimne. Suche liście szeleściły nieprzyjemnie pod stopami, przypominając o gęsią skórce czwórki nastolatków, którzy w środku nocy przedzierali się przez gęsty las w stronę jeziora. Trzech piętnastoletnich chłopców i dziewczyna.

– Jesteście pewni, że to dobry pomysł? – zapytała dziewczyna, przeskakując zwałony pień wyłuskany z mroku światem latarki.

– A co, boisz się? – odparł jeden z podążających za nią chłopców, starając się, aby jego głos brzmiał pewnie.

– Nie, tylko... zimno jest. – Nie mogła się przecież przyznać, prawda?

– Trzeba się było ciepiej ubrać.

– Szkoda, że nie ma Michała – westchnęła dziewczyna, idąca samotnie w szpicy małego oddziału.

– Nie marudź, Kaśka. Chory jest, przecież wiesz. Nie mógł iść.

– Ale i tak szkoda.

Pomyślała, że z Michałem byłoby różnie. Szedłby koło niej i razem pilnowaliby ścieżki. Skoro jednak Michała nie było, musiała sama pełnić ten obowiązek. I choć wokół niej tańczyły światła latarek idących za nią przyjaciół, w niewielkim stopniu poprawiało to jej nastrój.

Marsz utrudniał niesiony przez chłopców nadmuchany ponton. Teraz, po namyśle, doszli do wniosku, że napompowanie go w domu nie było najlepszym pomysłem, ale nikt nie chciał zostawać nad jeziorem dłużej, niż trzeba. W każdym razie nie w nocy.

Dwójka chłopców, Robert i Mateusz, szła przodem, tuż za Kasią. Z tyłu, milcząco, z wiosłem i latarką w wolnej dłoni, dreptał Maciek. Często potykał się o wystające korzenie, gdyż wiosło utrudniało manewrowanie latarką. W dodatku bał się.

Dwuosobowy, szary ponton, podtrzymywany przez trójkę chłopców za biegnącą wzdłuż niego linkę, kołysał się na boki. Ścieżka, którą podążali, była stara, wąska i ledwie widoczna w nocy. W wielu miejscach gęste krzewy niemal zupełnie ją zagradzały, a wtedy stawiali ponton na sztorc, aby przenieść go ponad splątanymi gałęziami.

To zadziwiające, jak znane i lubiane za dnia otoczenie w nocy potrafi zmienić się w miejsce obce i straszne. Maciek po raz kolejny pomyślał, że to jednak bardzo głupi pomysł.

Wąska ścieżka doprowadziła czwórkę nastolatków na niewielką plażę nad jeziorem. Był to właściwie tylko splachetek piasku wśród sitowia, niezbyt atrakcyjny dla turystów i rzadko odwiedzany przez miejscowych. Czasem latem można było tu spotkać dziewczyny, które szukały odosobnionego miejsca, żeby poopalać się topless.

Chłopcy rzucili ponton na wilgotny piasek i przez chwilę cała czwórka stała bez ruchu, patrząc na lekko pomarszczoną taflę jeziora, w której odbijał się księżyc w pełni.

Jezioro było duże, otoczone lasem skrywającym na przeciwległym brzegu ośrodek turystyczny „Merkury”, pole namiotowe, kilka letnich domków oraz przystań, z której w sezonie letnim wyruszały liczne patrole ratowników. Pomiędzy plażą, na której stała czwórka nastolatków, a przystanią znajdowała się wyspa. Z lotu ptaka jezioro przypominało nadgryziony obwarzanek.

– No, jesteśmy – powiedział Mateusz, spoglądając na Maćka.

Wybrali właśnie tę małą plażę, ponieważ stąd było najbliżej na wyspę, zwaną Skalką. Maciek wpatrywał się w jej zarys, majaczący wśród srebrnych wód jeziora.

– Rozpalimy ognisko, żeby łatwiej było ci nas znaleźć – rzekł Mateusz.

– Poza tym jest zimno – dodała, uśmiechając się, Kasia. Razem z Robertem zaczęli zbierać gałęzie.

Maciek również się uśmiechnął. Mateusz podał mu latarkę i pomógł zepchnąć ponton do wody.

– Niedługo wracam – rzucił Maciek.

Pomachał przyjaciółom na pożegnanie, wsiadł do pontonu, chwycił wiosła i popłynął w stronę wyspy.

– Słyszeliście o psie starego Wojciechowskiego? – zapytała Kasia.

– Nie, co z nim? – zainteresował się Michał.

– Uciekł mu jakiś tydzień temu. Wczoraj ktoś go znalazł na brzegu jeziora, martwego. Podobno wyglądał, jakby coś go wyssało. Psa, znaczy się. – Kasia była przejęta. Niezbyt lubiła swojego sąsiada, ale litowała się nad losem jego owczarka.

Rozmawiali, siedząc na szczycie Wzgórza Trzech Krzyży. Właśnie to spotkanie tydzień później zaowocowało wyprawą Maćka.

W dole skrzyła się w popołudniowym słońcu wstęga Wisły. Było cicho i ciepło. Gwar miasteczka dochodził tu jedynie w postaci niewyraźnego pomruku. Rynek przemierzali turyści. Z tej odległości wyglądali jak mrówki, które zgubiły drogę. Wydawało się, że w Kazimierzu Dolnym sezon turystyczny nigdy się nie kończył.

– To na pewno duchy z wyspy zgłodniały – zakpił Mateusz.

– E tam, nie ma żadnych duchów, a Wojciechowski to dziwak. Jego pies był zawsze chudy, rzadko dostawał jeść. Kto wie, może mu w końcu uciekł na dobre, dotarł do jeziora i zdechł z głodu? – rozważał Maciek.

– Chyba by wrócił, gdyby zgłodniał? – rzucił Robert.

– A ty byś wrócił do takiego człowieka? – odpowiedziała Kasia pytaniem.

– Zresztą pewnie oberwałyby po pysku, a nie dostał jeść.

– A tak w ogóle, kto znalazł tego psa?

– Nie wiem, nie pytałam. Koleżanka mi o tym powiedziała w szkole.

– Aha. Czyli plotka – stwierdził Robert. – Kaśka, wierzysz w plotki?

– Coś ty, przecież...

– A w duchy? – wtrącił Mateusz.

Cisza, jaka zapadła po tym pytaniu, wystarczyła wszystkim za odpowiedź. Po chwili Maciek jęknął.

– Nie ma żadnych duchów – powtórzył.

– A skąd możesz wiedzieć, co?! – krzyknęła Kasia. – Tylko dlatego, że żadnego nie widziałeś, nie znaczy, że ich nie ma!

– Jejku, o co ten krzyk? – Maciek skulił się w sobie.

– Wierzę w duchy. I tyle. A wy się ze mnie wyśmiewacie. A ty – oskarżycielsko wymierzony palec zatrzymał się tuż przed nosem Maćka – jak jesteś taki mądry, to idź o północy na cmentarz.

– Albo popłynij na wyspę – mruknął Mateusz. – Na Skalkę.

– Właśnie – podchwyciła Kasia. – Chyba się nie boisz?

– Oczywiście, że nie.

Maćkowi ciarki przeszły po plecach. Nie wierzył w duchy, ale o wyspie opowiadano różne rzeczy. A znaleźć się tam samemu w nocy...

– Musisz coś zabrać z wyspy, żebyśmy wiedzieli, że nie pływałeś w kółko.

– Robert się uśmiechał. Pozostali też. Zapowiadała się niezła zabawa.

Było już za późno, żeby się wycofać. Umówili się na przyszłą sobotę.

W sobotni wieczór Kasia, Maciek, Mateusz i Robert spotkali się w domu tego ostatniego. Ojciec Roberta miał ponton, narzędzie niezbędne dla powodzenia całej akcji.

– Koło dziesiątej moi rodzice wybierają się do znajomych i nie wrócą przed drugą.

– A więc wszystko zgodnie z planem – ucieszył się Mateusz.

– Tak. Będziemy mieli dużo czasu. Aha, jest tylko mały problem z noclegiem. Kaśka, ty dostaniesz łóżko, a my się musimy jakoś zmieścić na dwóch materacach.

– Ale po co się tak gnieść – wtrącił Mateusz. – Ja mogę z Kasią...

– Nie możesz, łobuzie – stwierdziła dziewczyna, jednocześnie bijąc Mateusza po głowie poduszką porwaną z łóżka.

Maciek cały czas milczał.

Żeby zabić trochę czasu, zaczęli grać w „Eurobiznes” i omawiać wyprawę.

– Celem jest dopłynięcie Maćka na wyspę i powrót – zaczął Mateusz.

– Oraz zdobycie dowodu na to, że naprawdę tam był – dodała Kasia.

Maciek się skrzywił.

– Nie ufacie mi, czy co?

– Ufamy, ufamy – zapewnił Robert. – Jednakże, jak mówi mój ojciec, zaufanie jest dobre, ale kontrola jeszcze lepsza.

– No to wszystko jasne – stwierdził Maciek i rzucił kostką. Wypadła szóstka i mógł kupić hotel w Barcelonie.

– Przywieź mi jakąś ładną pamiątkę – poprosiła Kasia.

– A co chcesz? Kamyczek z plaży czy spróchniałą gałąź?

– Dobra. Moi starzy niedługo wychodzą. Wtedy my pójdziemy do garażu napompować ponton. Zostawię uchylone okno w pokoju, na wypadek gdyby wrócili wcześniej. Macie latarki? – upewnił się Robert.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

– No to świetnie.

Jakąś godzinę później usłyszeli krzątanie w przedpokoju. Kobięcy głos oznajmił, że wychodzą i nie wiedzą, kiedy wrócą, na co Robert odkrzyknął, żeby dobrze się bawili.

Po chwili z garażu wyjechało stare audi.

– To jak, chłopcy i dziewczęta, gotowi? – zapytał Robert.

Wiosła gładko cięły taflę jeziora. Maciek widział przed sobą nikły blask ogniska rozpalonego na plaży. Co jakiś czas odwracał się, żeby sprawdzić, czy nie zboczył z kursu. Wyspa była coraz bliżej. A na wyspie...

Zły pomysł. Zły i głupi.

Przywieźć coś z wyspy... Łatwo powiedzieć. Na wyspie było tylko jedno miejsce, gdzie mógłby znaleźć coś, co stanowiłoby dowód, że rzeczywiście tam trafił.

Mniej więcej na środku porośniętej gęsto drzewami Skalki była polana. Znajdowały się na niej ruiny starej kaplicy, a dookoła nich wyrastały z ziemi nagrobki.

W lecie wyspa stanowiła częsty cel wypadów piątki przyjaciół, ale nigdy nocą. Rzadko też zapuszczali się w pobliże ruin. Woleli brzegi wyspy, bliskość wody i lasu, do którego uciekali, chroniąc się przed upałem.

Owszem, czasem przesiadywali na polanie, nawet buszowali w kaplicy, zastanawiając się, ile jest prawdy w starych legendach.

Ponton z chrzęstem osiadł na brzegu. Maciek wyskoczył i wciągnął go w zarośla. Potem spojrzał na odległą plażę, gdzie zostali jego przyjaciele. Blask ognia utwierdził go w przekonaniu, że wciąż tam są, czekają na niego. Włączył latarkę i zatoczył nią koło, dając znak, że dotarł na wyspę. Z brzegu nikt mu nie odpowiedział podobnym sygnałem.

– Głupi pomysł – mruknął Maciek, odwracając się plecami do jeziora. Zaczął się powoli przedzierać przez gęste zarośla w głąb wyspy.

Na temat znajdujących się na niej ruin krążyło wiele opowieści, ale prawdziwą zagadkę stanowiły groby. Polana była usiana mogiłami franciszkanów zwanych reformatami. To właśnie oni w XVII wieku zbudowali kaplicę w miejscu, gdzie niegdyś ponoć stał kamienny krąg. Ludność okolicznych wiosek jeszcze trzysta lat wcześniej zbierała się w tym miejscu, aby oddać cześć pogańskim bożkom, odprawiając zakazane przez Kościół rytuały. W czasach, gdy przewrócono ostatnie stojące

panionowo głazy i zbudowano kaplicę, nikt już nie pamiętał, jakie to były rytuały, ani komu poświęcone.

Na dnie jeziora archeolodzy odkryli pozostałości dawnej osady, co sugerowało, że jeszcze w czasach przedchrześcijańskich w miejscu jeziora znajdowała się dolina, a wyspa była wzgórzem górującym nad okolicą, doskonale nadającym się na miejsce kultu. Później jednak okolicę musiała nawiedzić wielka powódź i woda zalała dolinę.

Gdy franciszkanie trafili do Kazimierza Dolnego, wyspę z brzegiem jeziora łączyła grobla. Zaniepokoiło to braci zakonnych, jednak nic nie wskazywało na istnienie w okolicy jakiegokolwiek pogańskiego kultu. Mimo wszystko franciszkanie postanowili zburzyć pozostałości kamiennego kręgu i postawić na jego miejscu kaplicę. Legendy mówią, że ci, którzy zbudowali kaplicę, wkrótce potem zapadli na dziwną chorobę i zmarli. To właśnie ich podobno pochowano na wyspie. Inna wersja legendy podaje, że budowniczywie świątyni nie zmarli, ale po prostu zniknęli.

Ponoć franciszkanie jeszcze w XIX wieku nosili się z zamiarem budowy na wyspie małego klasztoru z kościołem, którego częścią miała być kaplica, ale ostatecznie zrezygnowali. Groblę zburzono, a kaplicę i groby pozostawiono samym sobie.

Stare podania nie podnosiły Maćka na duchu, gdy parł przez gęstwinę paproci w stronę polany. Powtarzał sobie wciąż, że przecież to tylko sterta głazów i kilka starych kości zakopanych głęboko pod ziemią. Jednak serce nie chciało słuchać rozumu i biło zdecydowanie zbyt szybko. Mimo że Maciek nie należał do bojaźliwych, a w duchy nie wierzył, więc się ich nie bał, to jednak aura tajemniczości otaczająca wyspę sprawiała, że miał przyspieszone tętno i gęsią skórę.

Nagle paprocie rozstały się i chłopiec znalazł się na zalanej księżycowym blaskiem polanie. Na jej środku wyrastała, trupio blada w świetle księżyca, bryła kaplicy. Puste oczodoły witraży spoglądały wprost na Maćka.

Kaplicę zbudowano na planie prostokąta. Była zorientowana według stron świata, tak że wejście znajdowało się od strony zachodniej. Północno-wschodni narożnik zawałił się niemal całkowicie i zamienił w kupę gruzu. Nad wejściem znajdowała się

niezbyt wysoka wieża z dzwonnica. Co się stało z dzwonem, nikt nie wiedział. Dach nad nawą główną był dziurawy, ale stare krokwie jakimś cudem wciąż wytrzymywały ciężar ceramicznych dachówek. Z obu stron budowli, w równych odstępach, przechylone, przewrócone, do połowy zagrzebane w ziemi, znajdowały się kamienie nagrobne franciszkanów. Maćkowi kojarzyły się z rzędami zębów.

Przynieść coś z wyspy, myślał chłopiec.

Ale co? Przecież nie wyrwę krzyża z jakiegoś grobu.

Ruszył pomiędzy groby zakonników, kierując światło latarki na mijane pomniki. Widział prawie całkowicie zatarte inskrypcje, epitafia, porośnięte mchem płaskorzeźby przedstawiające świętych i anioły. Zastanawiał się, czy nie zabrać jakiegoś małego odłupanego kawałka nagrobka, ale odrzucił ten pomysł.

Zatrzymał się przy wejściu do kaplicy. Stał w progu i poświecił latarką do wnętrza. Światło wydobyło z mroku kawałki starych desek, fragmenty zaprawy, kurz i brud pokrywające podłogę. W dali majaczył mały kamienny ołtarz.

Maciek przestąpił próg. Pod nogami chrzęściły mu sproszkowane cegły. Podłoga usiana była plamami księżycowego blasku. Przemierzył nawę i dotarł do ołtarza. Poświecił latarką w lewo. Zobaczył przewróconą figurkę. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że jest to rzeźba anioła ze złożonymi do modlitwy dłońmi. Anioł leżał na prawym skrzydle, strzaskanym przez ciężką stopę czasu, głowę miał pochyloną. Gdyby ustawić go prosto, wpatrywałby się w podłogę. Chłopiec podniósł figurkę. Zdziwił się, jaka jest ciężka. Pomyślał, że musiała być częścią jakiejś większej całości, po której nie został żaden ślad.

To było to. Dowód, że był na wyspie. Teraz mógł wracać do przyjaciół.

Ruszył do wyjścia. Przez chwilę miał wrażenie, jakby przedzierał się przez gęstą, lepka pajęczynę, ale gdy tylko przestąpił próg, wrażenie minęło. Odetchnął głęboko.

Już miał iść w stronę brzegu, gdy nagle coś przykuło jego wzrok. Promień księżyca odbił się w czymś lśniącym, co leżało w trawie niemal na wprost wejścia do ka-

plicy. Maciek podszedł bliżej i przyklęknął. Poświecił latarką i zobaczył kawałek błyszczącego metalu, ledwo wystającego z ziemi. Nie zastanawiając się długo, postanowił go wydobyć. Ziemia była wilgotna, łatwo poddawała się jego palcom. Już po chwili trzymał w ubrudzonych dłoniach gładki, owalny i delikatnie rzeźbiony klejnot. Uśmiechnął się i pomyślał, że powinien podziękować księżycowi za to, że mu go pokazał.

Maciek wstał, otrzepał się i zadowolony z siebie ruszył w stronę lasu. Nagle zrobiło się bardzo zimno. Miał wrażenie, jakby wszędzie wokół niego zaczął osiadać szron. Znowu poruszał się jak w gęstym syropie. Usłyszał coś jakby szept, westchnienie. Odwrócił się, ale za nim była tylko pusta polana. Odgłos się powtórzył. Chłopiec zaczął krzyczeć. Wtedy wszystko ucichło.

Maciek pobiegł do pontonu. Zsunął go do wody, chwycił wiosła i zaczął pracować ramionami jak szalony. Strach dodawał mu sił. Wydawało mu się, że słyszy słabnące szepty dochodzące z wyspy.

Kilkanaście minut później był już na plaży.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – powiedział ze śmiechem Robert, gdy Maciek wygramolił się z pontonu.

Chłopiec otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zmienił zdanie i tylko się uśmiechnął.

Mam im powiedzieć, że SŁYSZAŁEM ducha?

– Rany, cieszysz się jak małpa na plantacji bananów.

– Masz coś? – zapytała Kasia, podchodząc z Mateuszem.

– Jasne – odparł Maciek i schylił się po trofea leżące na dnie pontonu. Zaraz potem cała czwórka udała się w pobliże ogniska. Usiedli na piasku jak najbliżej Maćka i patrzyli mu przez ramię.

– To znalazłem w kaplicy – powiedział, pokazując figurkę anioła i podając ją Kasi.

– Byłeś w środku?

Dziewczyna obracała rzeźbę na wszystkie strony, w końcu podała ją Mateuszowi.

– Miałem do wyboru: poszukać czegoś w kaplicy albo przytargać któryś z nagrobków. A to znalazłem przed kaplicą.

Zapomnieli o figurce anioła, gdy Maciek wyjął z kieszeni drugie znalezisko. Blask ognia odbijał się w gładkiej powierzchni, wciąż nieco przybrudzonej ziemią.

– Wygląda jak... żuk – stwierdziła Kasia, przyglądając się bryłce. – To złoto?

– Całkiem możliwe.

– No to, bracie, znalazłeś skarb – powiedział Robert, klepiąc kolegę w ramię.

– Pytanie tylko, co z tym teraz zrobimy?

– Nikomu ani słowa – rzekł Maciek. Popatrzył każdemu w oczy i powtórzył:

— Nikomu ani słowa. Dobra?

– Daj spokój – oburzyła się Kasia. – To przecież oczywiste

– Komu mielibyśmy powiedzieć, że byliśmy nocą na Skałce? Rodzicom? – zawtórował Robert.

Mateusz tylko pokiwał głową.

– OK. No to spadajmy stąd – powiedział Maciek.

Za pomocą leżącego nieopodal zardzewiałego garnka z dziurawym dnem zalali ognisko. Potem w świetle latarek spuścili powietrze z pontonu i zwinęli go. Maciek, który nie musiał już pomagać nieść pontonu, szedł obok Kasi, wspólnie z nią prowadząc ich małą karawanę.

– Ten żuk, którego znalazłeś... – zaczęła Kasia.

– No?

– Jest piękny.

– Tak uważasz?

– Tak. I chyba jest bardzo stary.

– Czemu tak myślisz?

– Gdzieś już widziałam takie żuki. Ale nie pamiętam gdzie.

Przez chwilę szli w milczeniu. Łagodny szum lasu zagłuszał odgłos stóp depczących poszycie.

– Bałeś się?

Maciek przypomniał sobie głosy w ciemnościach i chłód przenikający jego ciało. Wzdrygnął się.

– Trochę. W końcu sam zwiedzałem ruiny kaplicy. Może następnym razem wybierzesz się ze mną?

– Czy proponujesz mi randkę? – zapytała, śmiejąc się, Kasia.

– No. Wyobrażasz sobie jakieś bardziej romantyczne miejsce?

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy Maciek kładł się na materacu w pokoju Roberta. Wyprawa nad jezioro zajęła im trzy godziny. Rodzice Roberta jeszcze nie wrócili, nie musieli więc wślizgiwać się przez okno.

Ponownie przeżywał swój pobyt na wyspie. Obracał w dłoniach żuka, którego wykopał przed kaplicą, i zastanawiał się, czym jest i skąd wziął się na wyspie.

Kasia mówiła, że już gdzieś widziała coś podobnego i że to było bardzo stare. Jemu ten mały kawałek złota też coś przypominał, ale nie potrafił go z niczym skojarzyć. Później Maciek nie mógł zrozumieć, dlaczego od razu nie poznał, co przedstawia klejnot.

No i jeszcze te dziwne głosy, chłód...

Gdy zasypiał, wydawało mu się, że słyszy szepty.

Poniedziałek był dla Maćka ciężki. Nie wyspał się, a klasówka z matematyki okazała się trudniejsza, niż myślał.

W domu był później niż zwykle, bo autobus z Puław się spóźnił. Miał ochotę na drzemkę przed obiadem, więc w korytarzu rzucił tylko „cześć”, mając nadzieję, że matka go usłyszy, gdziekolwiek się akurat znajduje, i poszedł prosto do swojego pokoju.

Po chwili kobieta stanęła w drzwiach.

– Maciek, skąd to masz?

W dłoni trzymała złotego skarabeusza.

ROZDZIAŁ 1

Kraków, Kazimierz Dolny, 2004

Dzień chylił się ku końcowi, gdy Andrzej Stawicki skończył przeglądać zdjęcia, które zrobił niedawno w kraju oddalonym o ponad trzy tysiące kilometrów. Jutro miał zamiar wypalić je na płycie CD i zanieść do redakcji czasopisma, w którym pracował. Wyłączył komputer, przymknął oczy i odchylił się na krześle. Dopiero teraz, gdy oderwał się od pracy, dotarł do niego hałas ruchu ulicznego. W otwartym na oścież oknie, poruszana ciepłym wiosennym wietrzykiem, tańczyła lekka firanka, którą wieki temu kupiła jego była żona Gosia.

Na progu pokoju pojawił się husky. Andrzej uśmiechnął się, wspominając, w jaki sposób Adi zapracował na swoje krótkie imię.

Pies przemierzył pokój spokojnym, leniwym krokiem i położył swój wielki łeb na kolanach Andrzeja. Jego duże niebieskie oczy zdawały się mówić „rusz się wreszcie”. Jakżeby inaczej. Właśnie nadszedł czas na wieczorny spacer. Po chwili na szyi psa podzwaniała łańcuchowa obroża, a on sam kręcił się koło drzwi. Andrzej i Adi szybko pokonali trzy piętra dzielące ich od świeżego podwórkowego powietrza. Andrzej z radością powitał ostatnie promienie zachodzącego słońca, które musnęły jego twarz, gdy wyszedł z klatki schodowej. Stał przez chwilę z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłem i tym delikatnym wiatrem. Adi cierpliwie czekał, aż upojenie jego pana minie.

Nagle szczeknął raz i szarpnął się na smyczy. Andrzej otworzył oczy i ujrzał sąsiadkę z piętra, zmierzającą ku nim z pustym wiaderkiem na śmieci w ręku.

– Dzień dobry, Andrzeju! – zaszcebiotała. – Cześć Adi! Śliczny mamy dzień, nieprawdaż? – dodała, głaszcząc husky’ego po łbie.

– Dzień dobry, Krysiu – odparł Stawicki. – Rzeczywiście, piękny dziś dzień.

Krysia Piekarska była drobną brunetką po trzydziestce, której Andrzej podrzucał Adiego zawsze, gdy wyjeżdżał zbierać materiały do kolejnych reportaży. Byli dobrymi przyjaciółmi. Często przesiadywał u niej długie godziny, popijając wytrawne wino i rozmawiając z nią na najróżniejsze tematy.

– Może wpadniecie do mnie później? Ugotuję coś pysznego – obiecała i z uśmiechem ruszyła w stronę klatki schodowej, nie czekając na odpowiedź.

Spaghetti, przemknęło Andrzejowi przez myśl. Zdarzało mu się już wcześniej przewidywanie przyszłości. Niezbyt odległej i dotyczącej raczej niewiele znaczących rzeczy, ale zawsze. Nazywał to zjawisko „przebłyskami jasnowidzenia”, jego świętej pamięci ekszona zaś – „lekką paranoją”. Gosia była bardzo wrażliwa na punkcie wszelkich form postrzegania pozazmysłowego. Jej ojciec lubił sobie wypić. Gdy miał w czubie, próbował czytania w myślach, jasnowidzenia i telekinezy. Tej ostatniej najczęściej na wazonie. Gdy mu nie wychodziło, po prostu rzucał nim o ścianę, a matka następnego dnia kupowała nowy.

– To dlaczego wciąż nie możesz trafić szóstki w totka? – krzyczała na ojca, gdy chwalił się swoimi zdolnościami. Na Andrzeja też krzyczała, gdy udawało mu się odgadnąć, co będzie na obiad.

– Co ty na to, druhu? Odwiedzimy dziś Krysie? – zapytał Andrzej, tarmosząc psa za uszy i odrywając się od wspomnień.

Adi zamerdał ogonem.

– Świetnie. A teraz chodźmy już na ten spacer.

Poszli nad zakole Wisły. Adi z niegasnącym entuzjazmem starał się obwąchać każdą kępkę trawy i obsikać połowę z nich. Rzeka lśniła, puszczając do spacerowiczów zajęczki. Szeroki, poprzecinany chodnikami pas trawy rozciągający się pod wzgórzem zamkowym zajęła młodzież. Chłopcy i dziewczęta wylegiwali się na koczach bądź bezpośrednio na trawie, śmiali się, rozmawiali, grali w karty i pili piwo.

Andrzej usiadł na ławce i zapatrzył się na skąpany w złocie Wawel. Uwielbiał zakole Wisły, uwielbiał Kraków z jego wszędobyłskimi gołębiami, turystami i korka-

mi ulicznymi. A jednak nie potrafił się cieszyć ani krakowskim majem, ani swoją pracą, która jeszcze do niedawna dawała mu tak wiele satysfakcji. Demony, które zamknął w klatce, gdzieś na samym dnie umysłu, spały, lecz sen miały czujny, niespokojny.

Czekały.

W nocy znów miał ten sen. Gdy pojawił się po raz pierwszy, niepokojąco realistyczny i zarazem całkiem przyjemny, powitał go z wdzięcznością, widząc w nim drogę ucieczki od okropieństw, których nie tak dawno był świadkiem. Kiedyś twarze postaci występujących w tym śnie stały się wyraźniejsze i od tamtego czasu przestał on być dla niego przyjemny. Za bardzo przypominał przeszłość, z którą nie chciał już mieć do czynienia, o której nie chciał pamiętać.

Miewał też inne sny, równie realistyczne i niepokojące, choć nie na tyle, by bać się zasnąć.

Adi poruszył się niecierpliwie. Chciał iść dalej, łowić nowe zapachy unoszące się w powietrzu i oznaczać teren, a nie siedzieć przy ławce, czekając, aż jego pan wróci na spokojne wody rzeczywistości.

Poszli dalej.

W drodze do domu Andrzej kupił pudełko czekoladek i późnym wieczorem pojawił się przed drzwiami mieszkania Krysi. Otworzyła po pierwszym dzwonku.

– Hej, wejdźcie – powiedziała. Adi nie czekał na zaproszenie, przepchnął się koło Andrzeja i już był w dużym pokoju. Rozwalił się pod kanapą, wywiesił język i wyszczerzył z zadowolenia zęby. Krysia przepadała za Adim, a Adi za Krysią. W końcu łączyły ich wspólne tygodnie, podczas gdy Andrzej gdzieś na końcu świata biegał z aparatem fotograficznym w ręce.

Andrzej wręczył sąsiadce bombonierkę i usiadł na kanapie. Czekoladki, wciąż zapakowane, wylądowały na stole.

– Zjemy na deser. Podać ci coś do picia?

– Masz jakiś sok owocowy? – zapytał Andrzej.

– Może być z czarnej porzeczki?

– Oczywiście.

Krysia zniknęła w kuchni, aby po chwili wrócić z tacą, na której stały dwie wysokie szklanki, sztućce i sok w kartonie. Postawiła tacę na stole i gdy Andrzej zajął się rozlewaniem soku, ponownie poszła do kuchni, tym razem po dwa talerze parującego spaghetti.

– Mam nadzieję, że będzie wam smakowało – powiedziała. Adi dostał wołową kość.

Andrzej podał Krysi szklankę.

– Rozpieszczasz mi psa. Niedługo będzie wolał mieszkać u ciebie.

Tręcili się i zabrali do jedzenia. Andrzej zamieszał widelcem w makaronie, porwał kilka nitek, wykręcił nimi piruet na łyżce i włożył sobie do ust.

Pochłonął swoją porcję w ciągu kilku radosnych, acz pracowitych minut. Dziewczyna miała naturalny talent do gotowania i w pełni go wykorzystywała. Ze zwykłego spaghetti potrafiła stworzyć poemat na cześć makaronu.

Pod stołem Adi chrupał swoją kość.

– Jutro idę do redakcji oddać ostatnie zdjęcia – powiedział Andrzej, gdy puste talerze zniknęły w kuchni.

– Te z Iraku?

– Tak.

– Chciałabym je zobaczyć – rzekła Krysia. – Jeszcze zanim trafią do druku.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Część już trafiła.

– Więc może pokażesz mi te, które masz w swoim komputerze? W magazynie ukazują się tylko niektóre.

– Zdjęcia to tylko echo tego, co widziałem w Iraku – powiedział Andrzej. – Ten kraj naprawdę ciężko będzie odbudować. Ludzie żyją w ciągłym strachu, zamachy terrorystyczne są coraz częstsze...

Umilkł. Zawsze się cieszył, gdy wyjeżdżał za granicę jako fotoreporter. Wiadomość o wyjeździe do Iraku również go ucieszyła, choć wiedział, że nie będzie to majówka. Pomimo oficjalnie zakończonych działań wojennych kraj wciąż stał w ogniu, Amerykanie deptali po piętach Saddamowi, którego bojówki z kolei uprzykrzały życie żołnierzom koalicji, jak tylko mogły.

Nic jednak nie było w stanie przygotować go do tego, co zastał na miejscu. Na każdym kroku strach, zniszczenie, cierpienie. Pierwszy raz w życiu znalazł się w samym centrum krwawych walk. W głowie utkwiała mu jednak najbardziej pewna kaseeta wideo, którą wraz z patrolem wojska znalazł w mieszkaniu jednego z członków partii Baas.

– Andrzeju? Wszystko w porządku? – zaniepokojony głos Krysi wyrwał go z odrętwienia.

– Tak. Tak, przepraszam. Zamyśliłem się.

– To przez ten wyjazd do Iraku, prawda? Zmienił cię. Widzę, jak nagle stajesz się nieobecny. Może powinieneś z kimś o tym porozmawiać? Wiesz...

– Z jednym z tych wiecznie uśmiechających się doktorów od głowy? Raczej nie. Myślę, że sobie sam poradzę. Muszę już iść. Dzięki za kolację. Była przepyszna.

– Andrzeju, przepraszam... – powiedziała Krysia do zamykających się drzwi.

W nocy Andrzej długo nie mógł zasnąć. Bał się. Krysia obudziła jego demony. Niechcący, przypadkiem sprawiła, że zaczęły się miotać w swojej klatce, szarpać pręty i opętańczo wyć. Tak samo jak przypadkiem trącony czubkiem buta kamyczek zamienia się w niszczącą wszystko na swojej drodze lawinę. Potrzeba trochę czasu, żeby demony znów się uspokoiły i zasnęły. Czasu i może...

Nie! Lepiej nawet o tym nie myśleć. I tak mało brakowało, żeby stracił nad tym kontrolę.

Krysia również nie spała. Myślała o Andrzeju. Z Iraku wrócił Andrzej niepodobny do tego, który tam pojechał. Nie było już Andrzeja zadowolonego z życia, An-

drzeja, który zawsze potrafił ją rozbawić. Był ktoś inny. Ten ktoś ją martwił i przerażał.

Kilkaset kilometrów dalej, i nieco później, w sanatorium dla ludzi cierpiących na nerwice oraz inne choroby psychiczne jeden z pacjentów zaczął krzyczeć. Na korytarzu rozległ się tupot nóg i po chwili do pokoju wpadło dwóch pielęgniarzy, kopniakiem zamykając za sobą drzwi. Kilka sekund później krzyki ustały.

W tym czasie korytarz zdążył się już zapełnić pensjonariuszami ośrodka, napędzanymi niezdrową ciekawością. Była wśród nich całkiem urocza młoda blondynka. Pomyślała, że ten, kto krzyczał, musiał mieć zły sen. Ona często budziła się w nocy ze zduszonym krzykiem na ustach. Na szczęście zawsze udawało jej się nad tym zapanować, w przeciwnym razie zostałaby nafaszerowana środkami uspokajającymi, tak samo jak tamten nieszczęśnik.

Dla niej jednak koszmary już się skończyły. Rankiem miała wyjść do domu z nadzieją, że już nigdy nie będzie musiała tu wracać. Wygasły wszystkie negatywne uczucia i złe myśli spowodowane zdarzeniami, przez które tu trafiła. Teraz było ich zdecydowanie mniej niż na początku i cieszyła się z tego. Według niej koszmary stanowiły swoisty wentyl bezpieczeństwa, przez który choroba powoli opuszczała jej głowę. Brakowało tylko świstu, jaki towarzyszy spuszczeniu powietrza z rowerowej dętki.

Właściwie tylko ona nazywała to miejsce „sanatorium”. Dla całej reszty był to zakład psychiatryczny, w którym próbowano złagodzić objawy schizofrenii, paranoi i całej gamy różnych chorób. Ci, którzy opuszczali mury zakładu, najczęściej do końca życia musieli łykać tabletki.

Przez jakiś czas ona również będzie musiała „brać prochy”, ale najgorsze miała już za sobą. Tak. Zdecydowanie. Już wkrótce opuści sanatorium, a potem... potem się zobaczy. Będzie wiedziała, co robić. Wierzyła swojej intuicji, słuchała jej i zawsze

wychodziła na tym dobrze. Poza jednym przypadkiem, ale to przeszłość, tak odległa, że niewarta nawet wspomnienia. Zresztą to i tak musiało się zdarzyć.

Najpierw usłyszał przejeżdżający za oknem tramwaj. Potem otworzył oczy i spojrzał na lśniące cyferki zegarka stojącego na szafce obok łóżka. Siódma rano. Wybierzcie mnie na prezydenta, a obiecuję wprowadzić ustawowy zakaz rozpoczynania dnia przed godziną dziewiątą, zwykł mawiać jako student. Potem jednak wstawanie o siódmej stało się nawykiem, jednym z tych, które ciężko wykorzenić, a studenckie wizje zmiany świata na lepsze odpłynęły w niebyt.

Na chwilę jeszcze zamknął oczy i wsłuchał się w bicie serca.

Wszystko gra.

Każdy dzień rozpoczynał w ten sam sposób, od lat. Najpierw marsz do toalety, potem mycie zębów. W kuchni włączał ekspres do kawy i dopiero potem się ubierał. Wtedy Adi zazwyczaj już siedział przed drzwiami, czekając na swoją okazję do opróżnienia pęcherza. Andrzej zapinał mu smycz na obroży i wyprowadzał na podwórko. Był chyba jedynym mieszkańcem miasta, który na spacer z psem zabierał szufelkę i foliowe woreczki.

Zapowiadał się następny słoneczny dzień. Chłód poranka przyjemnie orzeźwiał, nieliczne kępki niezdeptanej trawy lśniły od rosy. Andrzej nie po raz pierwszy pomyślał, że fajnie byłoby mieć dom gdzieś na przedmieściach i móc co rano rozkoszować się takimi chwilami, przechadzając boso po własnym ogródku.

Tymczasem Adi zdążył załatwić swoje potrzeby; Andrzej zgarnął, co było do zgarnięcia, i wyrzucił woreczek do najbliższego śmietnika.

W mieszkaniu unosił się przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy. Andrzej nalał sobie pełny kubek i usiadł przy biurku. Śniadanie, jak zwykle, zje później.

Otworzył szufladę, w której schował płyty ze zdjęciami z Iraku, i poczuł, jak demony znów wałęsają się w kraty więzienia, które dla nich zbudował.

Gabinet kierownika działu zagranicznego „Explorera”, czasopisma, dla którego pracował Andrzej, był zagracony nieco bardziej niż zwykle. Wszędzie walały się plastikowe kubki po kawie, stare numery tygodnika i mnóstwo innych papierów.

– Andrzej! Masz te zdjęcia?

Ani cześć, ani pocałuj mnie w dupę, tylko czy masz już te zdjęcia. Cholera!

Ale Maciek Krzyżewski taki już był. Rzadko kiedy bawił się w uprzejmości i przez lata współpracy z nim Andrzej zdążył się przyzwyczaić, że od razu przechodzi do sedna. Niemniej dziś niezmiernie go to zirykowało.

Kierownik działu był gruby i kształtem przypominał baryłkę. Jego garnitury i koszule krawcy szyli na zamówienie, bo w sklepach miał kłopoty ze znalezieniem czegoś na swój rozmiar. Poza tym było go na to stać. Znali się od dziewięciu lat, czyli od początku istnienia gazety, kiedy to Andrzej jeszcze się cieszył, że będą mu płacić za zwiedzanie świata.

– Tak, mam – powiedział, podchodząc do biurka.

– Pokaż. – Maciek odstawił kubek z kawą i wyciągnął rękę.

Andrzej podał mu kopertę z płytą CD.

– Masz ochotę na kawę? Sam piję trzecią. Lekarz kazał mi się ograniczać, więc piję pół na pół z mlekiem.

– Aha. To kakao pijesz, nie kawę. Kawa powinna być czarna i bez cukru, żeby można było nazwać ją kawą.

– Prawie już zapomniałem, jak lubisz się wymądrzać. Moniko, bądź tak dobra...

– powiedział do sekretarki, która właśnie weszła do gabinetu. Dziewczyna uśmiechnęła i wyszła bez słowa. Po kilku minutach wróciła z kubkiem gorącej kawy.

– Czarna, tak jak lubisz – powiedziała, podając kubek Andrzejowi.

– Dziękuję.

– Dobra, daj mi trochę czasu na przejrzanie tych zdjęć.

– Jasne, nie krępuj się.

Maciek otworzył kopertę, włożył płytę do napędu i uruchomił odpowiedni program, a Andrzej zaczął kontemplować własne paznokcie. Ogarnęło go znajome uczucie, takie jakie towarzyszy człowiekowi podczas przejażdżki kolejką górską w wesołym miasteczku. Czuł się tak zawsze, gdy ktoś w jego obecności przeglądał zdjęcia, które zrobił. Pomimo lat pracy to szczególne wrażenie wciąż było silne.

Doskonale pamiętał dzień, gdy przyniósł do redakcji swoje pierwsze zdjęcia. Był zdenerwowany, a zachowanie Maćka nie pomagało w uspokojeniu nerwów. Ale gdy gruby człowiek za zagraconym biurkiem zaczął przebiegać wzrokiem kolejne kolorowe fotografie, Andrzej po raz pierwszy poczuł się, jakby pędził swoją osobistą kolejką górską z prędkością bliską prędkości światła. Wtedy wydawało mu się to lepsze od seksu. W ciągu następnych lat zdążył zmienić zdanie, ale przyspieszone bicie serca i łaskotanie poniżej pępka pozostały, niczym wierna kochanka.

– Chryste – szepnął Maciek kilka minut później. Andrzej myślał, że kierownik działu wzruszył się losem ludzi, których Andrzej fotografował, ale Maciek oceniał zdjęcia jako redaktor, a nie człowiek. – Są świetne. Naprawdę świetne. Ucałowałbym cię, ale sam rozumiesz...

– Taaa, biurko jest dla ciebie za szerokie.

– Żartowniś. Ale wybaczę ci, bo te zdjęcia są naprawdę dobre.

– Cieszę się, że ci się podobają. Słuchaj, chcę wziąć zaległy urlop – wypalił Andrzej. Maciek na moment znieruchomiał, potem na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– Jasne, nie ma sprawy, odwalileś kawał dobrej roboty. Należą ci się wakacje.

Z redakcji Stawicki wychodził już w lepszym humorze.

Poprosił o urlop całkowicie spontanicznie, bez zastanowienia. Ogarnęło go wtedy dziwne uczucie, o którym niemal natychmiast zapomniał, zupełnie jakby ktoś inny podjął za niego decyzję. Ktokolwiek to był, opuścił Andrzeja, pozostawiając go z problemem zagospodarowania następnych dwudziestu dni. Jedno było pewne – Andrzej potrzebował tego urlopu, nawet bardzo, ale uświadomił to sobie dopiero wtedy,

gdy już go dostał. Musiał się stąd wyrwać. Uspokoić skołatane nerwy, odzyskać wewnętrzną równowagę.

Najtrudniejszym oczywiście zadaniem był wybór miejsca przyszłego wypoczynku. Do dyspozycji miał niemal cały świat, lecz tym razem Andrzej nie chciał zostawić Adiego na głowie Krysi, a wyjazd za granicę z jakimkolwiek zwierzęciem wiązał się z istnym biurokratycznym torem przeszkód, nie wspominając już o koniecznych szczepieniach i kwarantannie wymaganej przez niektóre kraje. Tak więc, mimo iż podczas licznych wyjazdów Andrzej szczególnie upodobał sobie Grecję, do której zawsze chętnie powracał, ilekroć miał ku temu okazję, tym razem zdecydował się na spędzenie urlopu w kraju. Zwłaszcza że wiosna była w tym roku naprawdę piękna.

Pomyślał o górach, o Tatrach. Malująca się przed oczyma wizja spędzania całych dni na hasaniu po stokach była kusząca, mimo iż zląził już większość tamtejszych szlaków jeszcze za czasów studenckich. Góry kusiły go czymś jeszcze. Ciszą i spokojem panującymi na zboczach i w sosnowych lasach. Andrzej bardzo potrzebował spokoju.

Wieczorem ponownie zastukał do drzwi Krysi.

– Słuchaj, przepraszam za moje wczorajsze zachowanie – powiedział, gdy gestem zaprosiła go do środka.

– Nic się nie stało – odparła, lecz jej niepewny uśmiech mówił coś innego. – Napijesz się czegoś?

– Wody mineralnej, jeśli masz. Gorąco się zrobiło.

Przeszli przez pokój dzienny i usiedli przy stole w małej kuchni. Krysia wydobyla ze zgrzewki butelkę i podała ją Andrzejowi.

– Wyjeżdżam – oznajmił Andrzej i pociągnął solidny łyk.

– Dokąd? Znow gdzieś, gdzie toczy się jakiś krwawy konflikt?

– Nie. Nie tym razem. Wyjeżdżam na urlop. W góry.

– Chcesz, żebym się zaopiekowała Adim?

– Dzięki, ale mam zamiar zabrać go ze sobą. Już i tak przysporzyłem ci sporo kłopotów.

– Wiesz, że to żaden kłopot.

Przez chwilę oboje siedzieli, nic nie mówiąc.

– Naprawdę jest mi przykro, że cię wczoraj uraziłem – odezwał się w końcu Andrzej. – Właśnie dlatego chcę wyjechać. Muszę dojechać do siebie.

– Więc miałam rację? – podchwyciła Krysia. – Chodzi o Irak? Co tam się stało?

– Nie, Krysiu. Nie dziś. Zbyt piękny mamy dzień, aby go psuć ponurymi historiami. Dzięki za wodę. Będę się zbierał.

Andrzej odstawił na stół opróżnioną do połowy butelkę i ruszył w kierunku drzwi. Przechodząc przez pokój, nagle się zatrzymał. Powoli obrócił głowę w lewo, w kierunku regału z książkami. Znow opanowało go uczucie, jakby ktoś inny nim sterował. Mgliście przypomniał sobie, że już kiedyś, całkiem niedawno, czuł coś podobnego, ale nie zastanawiał się nad tym dłużej. Podeszedł bliżej i wyciągnął dłoń po coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak kołonośnik formatu A6. Gdy tylko zaciśnął na nim palce, uczucie znikło i Andrzej natychmiast o nim zapomniał.

– Kazimierz Dolny, przewodnik turystyczny – przeczytał, spoglądając na trzymaną w dłoni niewielką książeczkę. – Nigdy tam nie byłem.

– Naprawdę? – Krysia zaglądała mu przez ramię. – Żałuj. Tam jest pięknie.

– Mogę to pożyczyć? – Na twarzy Andrzeja pojawił się szeroki uśmiech, który Krysia tak lubiła.

Gdy łódź wypełniona sprzętem dobiła wreszcie do brzegu Skałki, pierwszy wyskoczył z niej profesor archeologii Uniwersytetu Warszawskiego Antoni Orańczak. Był szczupły, średniego wzrostu, po sześćdziesiątce i trzymał się zadziwiająco prosto jak na swój wiek. Oczy płonęły mu blaskiem, gdy w to ciepłe, niemal upalne popołudnie

lustrował teren, pragnąc przebić wzrokiem gęste krzaki broniące dostępu w głąb wyspy.

Za nim grupka studentów, postępując i posapując, wyładowywała skrzynie z łodzi. Profesor zadarł głowę, starając się dostrzec interesujący go obiekt pomiędzy kołyszącymi się czubkami wysokich drzew.

– Niesamowite – szepnął. – Wprost niewiarygodne...

– Sprzęt już wyładowany – zawołała najbliższa współpracownica Orańczaka, doktor Anna Nawrot. Była bardzo atrakcyjną brunetką, mimo że zbliżała się już do czterdziestki. Długie, lśniące włosy upięła wysoko na głowie, ale niesforne kosmyki i tak wymykały się spod spinki.

– Doskonale – rzekł profesor, wracając na brzeg. – A więc bierzmy się do roboty, zanim dzień nam się skończy!

Grupa pod jego przewodnictwem ruszyła w głąb wyspy.

ROZDZIAŁ 2

Kazimierz Dolny, 2004

Trzy dni później, jak każdego ranka, Andrzeja obudził tramwaj. Znów o siódmej rano. Jak co dzień najpierw umył zęby, potem włączył ekspres do kawy i poszedł z psem na podwórko.

A potem zaczął się pakować. Postanowił już, że urlop, a przynajmniej jego część, spędzi w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą.

Dwa ostatnie wieczory poświęcił na przestudiowanie przewodnika pożyczonego od Krysi i skusiły go zawarte w nim opisy oraz zdjęcia przedstawiające miasteczko.

Zdołał się zapakować do podróźnej torby i małego plecaka. W ostatniej chwili zabrał jeden ze swoich cyfrowych aparatów fotograficznych, po czym wziął Adiego na smycz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Torbę załadował do bagażnika, a psa i plecak na tylne siedzenie swojego trzydrzwiowego bordowego renault clio. Adi natychmiast przeskoczył do przodu i zajął fotel pasażera. Przez chwilę patrzyli na siebie: Andrzej z irytacją, a pies z najbardziej niewinną miną, jaką tylko może przybrać husky. W końcu mężczyzna się uśmiechnął, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył spod bloku. Pies zaczął obślinać szybę.

Miasto było zakorkowane. Jak zawsze w Krakowie o poranku, w południe i wieczorem. Samochody poruszały się w żółwym tempie, co chwilę jakiś zniecierpliwiony kierowca maltretował klakson.

Andrzej postanowił, że nie będzie się denerwował. W końcu jechał właśnie na zasłużony urlop. Adi rozłożył się na siedzeniu, okazując pogardę dla zmagających użytkowników dróg. Nie jest łatwo być cierpliwym w korku. W pewnej chwili Stawicki usłyszał trzask, a potem ujrzał corsę stojącą w poprzek jezdni ze zderzakiem wbitym w drzwi ford focusa od strony pasażera. Kierowcy obu pojazdów wysiedli, obejrzeni

zderzak i drzwi, po czym zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Następnie w ruch poszły pięści. Potrzebna była interwencja osób trzecich. Chociaż w końcu udało się ich rozdzielić, na jezdni pozostała przyczyna powiększającego się zatoru ulicznego w postaci dwóch szepionych ze sobą samochodów. Przepchnięcie ich na chodnik na szczęście nie trwało długo.

Kiedy w końcu Andrzej wyjechał z Krakowa, odetchnął z ulgą. Minęła już dziesiąta.

Poza miastem drogi były przejezdne, choć panował duży ruch. Adi, czując, że samochód przyspieszył, znów zaczął obślinać szybę. Lubił jazdę samochodem. Rozglądał się ciekawie na wszystkie strony, podziwiając widoki.

Koło Kielc Andrzej zatrzymał się na małym przydrożnym parkingu otoczonym świerkami, żeby coś zjeść. Zamówił sobie hot doga i zdziwił się niepomnie, gdy wśród kukurydzy, kiszonych ogórków i majonezu dostrzegł czerwoną kapustę. *Localny folklor*, pomyślał, przeżuając pierwszy kęs.

Nie zapomniał też o Adim. Najpierw wypuścił go, żeby pies mógł się załatwić, potem wydobyl z bagażnika jego miski, tak zaprojektowane, że jedna mieściła się w drugiej. Andrzej kupił je poprzedniego dnia, specjalnie na ten wyjazd. Do pierwszej nasypał trochę suchej karmy, do drugiej wlał wodę mineralną i postawił obie na ziemi. Po chwili pies zaczął pożerać chrupki, a Andrzej sięgnął do plecaka po kanapki, które sobie przezornie przygotował przed wyjazdem. Hot dogiem się nie najadł, na drugiego nie miał ochoty, a bał się zamówić hamburgera czy chociażby zapiekanekę. Nie wiadomo, co mógłby w nich znaleźć.

Jedząc kanapki, słuchał wiadomości. Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, ponieważ nie potrzebował spikera do stwierdzenia, że „mamy piękny dzień, a temperatura może sięgnąć nawet dwudziestu stopni powyżej zera”.

Po posiłku zapakował Adiego z powrotem do samochodu, schował puste miski i ruszył dalej.

Minął Puławy i powoli zbliżał się do celu podróży.

Miał już dość muzycznej papki puszczonej w radiu i przerywanej częstymi reklamami środków przeczyszczających lub powstrzymujących gwałtowne przeczyszczanie. Przez chwilę grzebał w schowku od strony pasażera, po czym wyciągnął starą kasetę Guns N'Roses. Kiedy z głośników ryknęła gitara elektryczna Slasha, Adi stulił uszy i uciekł na tylne siedzenie. Jakoś nie trawił rocka.

Andrzej odruchowo przyspieszył i zaczął nucić pod nosem ulubione kawałki.

Ojcie, kto zbudował piramidy? Ludzie.

Tacy jak my?

Nie. Znacznie mądrzejsi i potężniejsi.

Andrzej nerwowo zamrugął. Piramidy? Nigdy nie słyszał, żeby Gunsi śpiewali o piramidach... Przewinął kasetę i puścił jeszcze raz. Usłyszał tylko doskonale znany tekst *Don't Cry*. Ciarki przeszły mu po plecach. Z tyłu pisnął Adi.

– Też słyszałeś coś dziwnego, piesku?

Co się stało z tymi ludźmi?

Zabiliśmy ich.

– Co jest...?

Przed oczami coś mu błysnęło. Jakiś okrągły przedmiot i coś błyszczącego pod nim... Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie, jak zwykle w takich chwilach.

Właśnie zbliżał się do ostrego zakrętu. Jechał za szybko. W polu widzenia nagle znalazł się żółty samochód dostawczy, który ścinając zakręt, wjechał na lewy pas. Andrzej wcisnął hamulec i skręcił w prawo. W tym momencie dostrzegł plecy piesze-
go. Szedł po niewłaściwej stronie pobocza. Andrzej odbił w lewo i dodał gazu, żeby nie potraćić beztroskiego spacerowicza. Zdołał go ominąć, ale samochodem zarzuci-
ło. Andrzej słyszał, jak husky przetacza się po siedzeniu, pchany siłą bezwładności. Potem stracił panowanie nad kierownicą, bordowe clio obróciło się o sto osiemdzie-
siąt stopni i tyłem wjechało do rowu, kasując przy okazji znak informujący o niebez-
piecznym zakręcie. Kierowca samochodu dostawczego niczego nawet nie zauważył.

Przez chwilę Andrzej siedział nieruchomo, wsłuchując się w bicie własnego serca.

– Wszystko w porządku – szepnął do siebie. – Oprócz tego, że zaczynam słyszeć głosy, wszystko jest w porządku.

Pocieszyła go myśl, że wciąż żyje. Potem do głuchego łomotu serca dołączył inny dźwięk: popiskiwanie Adiego. Andrzej spojrzął za siebie. Husky na wpół siedział, a na wpół leżał na tylnej kanapie. Miał rozbiegany wzrok i drżał na całym ciele, ale poza tym chyba nic mu się nie stało. Andrzej uświadomił sobie, że sam również drży. Pomyślał, że to szok, i z niejakim zdziwieniem obserwował jego oznaki u psa.

Nagle pojawienie się twarzy w oknie spowodowało niekontrolowany podskok kierowcy i znacząco przyspieszyło mu puls.

– Nic się panu nie stało? – krzyknęła twarz, której właściciela Andrzej o mały włos nie wysłał na tamten świat. Twarz, jak i zapewne cała reszta, należała do kobiety.

Pokręcił przecząco głową.

– Pomogę panu wysiąść – zaoferowała się niedoszła ofiara wypadku, otwierając skrzypiące drzwi.

Andrzej drżącą ręką sięgnął do klamry pasa bezpieczeństwa. Pas odskoczył ze świstem, uderzając go w lewą dłoń.

Dopiero potem wyłączył wciąż pracujący silnik i wygramolił się z samochodu. Adi wyszedł tuż za nim.

– Dziękuję – wysapał Stawicki.

Kobieta pierwsza wyszła z rowu i wyciągnęła do Andrzeja rękę. Zauważył, że jest bardzo szczupłą blondynką o krótko przyciętych włosach. Po chwili stał obok niej na poboczu, spoglądając z góry na samochód i głaszcząc husky'ego po łbie. Pies przysiadł koło nogi swojego pana.

– Jest pan cały? – zapytała ponownie kobieta.

– Dziękuję, nic mi nie jest – odparł Andrzej. – A pani? Prawie panią potrąciłem.

– Niech się pan nie martwi, nie trafił pan. – Blondynka się uśmiechnęła.

– Całe szczęście.

– Nie powinien pan rozstawić trójkąta albo coś w tym rodzaju?

– Racja. Oczywiście – rzucił Andrzej.

Zsunął się z powrotem do rowu i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Z tylnego siedzenia zabrał też swój plecak i smycz. Okrążając samochód, zauważył, że w drzwiach od strony pasażera jest spore wgniecenie, a znak drogowy wybił szybę. W końcu wydobył z bagażnika trójkąt ostrzegawczy i wrócił na pobocze. Zapiął Adiemu smycz i podał ją kobiecie.

– Proszę potrzymać – powiedział i ruszył w stronę, z której nadjechał samochód dostawczy. Ustawił trójkąt w przepisowej odległości i zawrócił. Pomyślał, że w sumie wszyscy mieli sporo szczęścia. Nikomu nic się nie stało, a i szkody wyglądały na niewielkie. Samochód był ubezpieczony, więc kosztami naprawy nie musiał się przejmować. Nie powinno być również problemu z wyciągnięciem renówki z rowu, bo wpadła do niego pod kątem i przednimi kołami opierała się o pobocze.

– Śliczny pies – powiedziała kobieta.

– I wyjątkowo grzeczny – odparł Andrzej z uśmiechem. – Zazwyczaj rzuca się na ludzi. – Źrenice zielonych oczu blondynki gwałtownie się rozszerzyły. – Nie, nie jest groźny – pospieszył z wyjaśnieniem Andrzej. – Jest bardzo przyjacielski i na swój sposób wylewny. Wszystkich próbuje lizać po twarzy.

– Aha – mruknęła kobieta, ale nie wyglądała na uspokojoną.

– Andrzej Stawicki – przedstawił się reporter, wyciągając dłoń.

– Iza Mieleniuk – odparła blondynka. Miała silny uścisk. Po chwili oddała Andrzejowi smycz.

– Cóż, chyba muszę zadzwonić po pomoc drogową – stwierdził.

Wyjął z plecaka na szczęście nieuszkodzony telefon komórkowy i wybrał numer linii alarmowej swojego zakładu ubezpieczeń. Po krótkiej rozmowie dyspozytor zapytał o miejsce wypadku.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał Andrzej, zasłaniając mikrofon telefonu.

Iza odpowiedziała.

– Pięć kilometrów od Kazimierza Dolnego, w stronę Puław – powtórzył Andrzej.

Profesor Orańczak i jego dwaj młodzi asystenci wyszli ze sklepu spożywczego. Ci ostatni nieśli ciężkie siatki pełne żywności, profesor zaś z butelką wody mineralnej w ręce pełnił rolę przewodnika stada. Przecięli rynek miasteczka i ruszyli w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu.

Gdy ładowali się wraz z zakupami do środka, minęło ich bordowe clio na lawencie.

Profesor usiadł za rozgrzaną kierownicą. Upał powoli stawał się nie do zniesienia. Co się dzieje z tym majem?

Kwatera zespołu naukowego znajdowała się w Domu Pracy Twórczej Politechniki Lubelskiej. Nie było to szczególnie atrakcyjne miejsce, ale profesorowi zależało, żeby mieszkać jak najbliżej wyspy. Ośrodek turystyczny nad jeziorem nie dysponował wystarczającą ilością wolnych miejsc, a noce wciąż były za chłodne, aby sypiać w namiotach na wyspie.

Pilnowanie terenu musiał zlecić firmie ochroniarskiej, co również mu się nie podobalo. Cóż, na razie to musiało wystarczyć. Przynajmniej do chwili, gdy zrobi się na tyle ciepło, że będzie można przenieść się na wyspę.

W progu budynku przywitała ich Anna.

– Nareszcie. Umieramy z głodu – powiedziała, biorąc siatkę od jednego z asystentów.

– Pani doktor, nie mogę pamiętać przecież o wszystkim! – odparł Orańczak.

– A powinien pan, powinien. W końcu to pan jest profesorem.

Profesor parsknął śmiechem. Jego znajomość z Anną Nawrot sięgała czasów, gdy była studentką trzeciego roku archeologii na Uniwersytecie Warszawskim. Jedną z lepszych studentek na roku, a ponadto cechował ją zapał, jaki profesor zawsze cenił u młodych ludzi. Dlatego ucieszył się, gdy Anna po obronie pracy magisterskiej oznajmiła, że zamierza pozostać na uczelni i pod jego kierunkiem zrobić doktorat.

Anna poprowadziła całą trójkę do przestronnej jadalni. Reszta zespołu była właśnie zajęta zsuwaniem kilku stołów. Po chwili dosunęli krzesła, na blacie wylądowały ciężkie pakunki przywiezione przez profesora, a za nimi sztuce i talerze wygrzebane w kuchni.

Wszyscy członkowie zespołu zasiedli do wspólnej kolacji. Oprócz Orańczaka i Nawrot grupa składała się z czternastu studentów, od trzeciego roku wzwyż, i dwóch doktorantów.

– Czy oficjalne pozwolenie już doszło? – zapytał profesor między kęsami kanapki z serem.

– Owszem – potwierdziła Anna. – Dziś rano.

– Świetnie. Jutro o poranku zabierz ludzi na wyspę, a ja udam się ze świstkiem do gwardiana klasztoru reformatów.

– Postawimy go w niezręcznej sytuacji. Nie miał nic do powiedzenia w sprawie ziemi, która bądź co bądź należy do klasztoru od wieków.

– Trudno. Nie było czasu na negocjacje z miejscowymi braciszkami. Gdybyśmy wdali się z nimi w dyskusję, najpewniej stracilibyśmy środki na badania, nim doszłoby do podjęcia jakichkolwiek decyzji.

– Mimo wszystko moim zdaniem należało przynajmniej powiadomić gwardiana o naszych zamiarach, zanim jeszcze doszło do rozmowy z prowincjałem zakonu.

Orańczak westchnął.

– Pewnie masz rację. Powinienem był zostawić ci sprawy administracyjne, jak zwykle. Ale nadarzyła się okazja, a pokusa była zbyt silna. Jak mówiłem, trudno. Stało się.

Przez cały wieczór nie wrócili już do tematu. Po kolacji jednak zajęli się kwestiami technicznymi. Pochyleni nad mapą wyspy i serią zrobionych wcześniej zdjęć dyskutowali o tym, w którym miejscu najlepiej rozpocząć wykopaliska.

Pomarańczowy samochód pomocy drogowej zatrzymał się nieopodal rynku. Z szoferki wyskoczył Andrzej z Adim, a za nimi Iza. Gdy tylko Andrzej wydobył z auta swoje bagaże i zatrzasnął za sobą drzwi, kierowca ruszył, zabierając rozbitą renówkę do warsztatu.

Przez chwilę stali na chodniku, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu odezwał się Andrzej:

– Czy dałaby się pani zaprosić na kolację? W ramach przeprosin za to, że o mało pani nie rozjechałem...

Iza wahała się przez chwilę, w końcu jednak uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Czemu nie? – odparła. – Ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze chciałabym jeszcze na chwilę pójść do siebie, żeby się odświeżyć i przebrać, a po drugie przejdźmy na „ty”.

– Dobrze. W takim razie spotkajmy się koło studni na rynku, powiedzmy za godzinę, zgoda? Muszę znaleźć jakiś pensjonat, gdzie zechcą przyjąć mnie i psa.

Andrzej znalazł lokum nadspodziewanie szybko, bo już po kilkunastu minutach. Wynajął pokój w małym, jednorodzinnym domku przy ulicy Sadowej, w którym mieszkał samotny starszy pan. Na tyłach domu rozciągał się ogród, było więc sporo miejsca dla Adiego. Sadowa biegła równolegle do brzegu Wisły i z piętra można było dostrzec lśniącą wstęgę rzeki.

– Oczywiście, pies może spać w pokoju razem z panem, ale wtedy wyjdzie trochę drożej. Wie pan, sierść, ciężko posprzątać, pies może nabrudzić...

Andrzej nie wyklócał się o cenę. Nie sądził, że znalezienie kogoś, kto zgodzi się przyjąć psa pod swój dach, okaże się takie proste. Adiemu będzie dobrze w ogrodzie, podczas gdy jego pan uda się na kolację do restauracji.

Pokój, który wynajął, znajdował się na piętrze. Nie był duży, stało w nim jedynie łóżko, stolik, dwa krzesła, szafka i telewizor, ale Andrzejowi to odpowiadało, ponieważ i tak zamierzał w nim spędzać jedynie noce. Łazienka z wanną i prysznicem znajdowała się na korytarzu, koło schodów. Na piętrze był jeszcze jeden pokój do wynajęcia, w tej chwili wolny.

Zadowolony z pomyślnego rozwoju sytuacji, Andrzej zrzucił z ramienia swoją torbę podróżną. Plecak położył na jednym z krzeseł i wyrztał przez malutkie okienko wpuszczone w ukośny sufit. Widział stamtąd kawałek ogrodu i wężącego w nim psa. Husky wydawał się lekko zdezorientowany. Stawicki uśmiechnął się do swoich myśli i poszedł wziąć prysznic.

Pod strumieniem gorącej wody przykre wspomnienie wypadku szybko zbladło, wróciła natomiast myśl, która tuż przed zdarzeniem pojawiła się w jego głowie.

Ojcie, kto zbudował piramidy?

Dopiero teraz miał chwilę, żeby się nad tym zastanowić. Skąd wzięła się ta myśl? Nie była jego, to pewne. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek prowadził sam ze sobą dyskusję o piramidach. Wniosek z tego płynął taki, że naprawdę zaczął słyszeć głosy. Jak ci wszyscy ludzie, którzy przeżyli jakiś wstrząs psychiczny i nie potrafili w pełni z niego wyjść.

Boże, jest gorzej, niż sądziłem. A jeśli tak, to może Krysia ma rację? Może naprawdę sam sobie z tym nie poradzę?

Zdecydował, że jeszcze ma czas. Jeśli to nie minie samo, jeśli będzie się powtarzać – wtedy zacznie się martwić.

Dokładnie o umówionym czasie Andrzej znalazł się koło studni na kazimierskim rynku. Nie czekał długo. Iza zjawiała się ubrana w lekką, kwiecistą sukienkę, która podkreślała bladość jej uśmiechniętej twarzy. Z daleka dojrzała Andrzeja i pomachała do niego, przyspieszając kroku.

– Widziałem po drodze miłą knajpkę – zagadnął Andrzej, gdy Iza podeszła bliżej.

– Prowadź więc – odparła dziewczyna.

Po krótkim spacerku stanęli przed drewnianą furtką. Wisiał nad nią szyld głoszący, iż za progiem na głodnych turystów czeka „Zielona Tawerna”. Andrzej pchnął furtkę i znaleźli się w dużym ogrodzie otoczonym drzewami. Pod ich stopami ścieliła się brukowana dróżka prowadząca do znajdującego się po lewej stronie budynku. Tam właśnie mieściła się restauracja, ale ze względu na piękną pogodę i rozkwitający sezon letni wiele stolików wystawiono na zewnątrz.

Andrzej i Iza wybrali stolik pod rozłożystą jabłonią, niedaleko budynku. Otoczyły ich zapachy przeróżnych potraw spożywanych przy sąsiednich stolikach i przygotowywanych w kuchni.

Kelner zjawił się szybko, ze służbowym uśmiechem na twarzy i dwiema kartami dań w dłoni. Oboje nabrali już porządnego apetytu, więc z zapalem zabrali się do studiowania menu.

Niedługo potem kelner pojawił się ponownie, tym razem z notesem i długopisem. Iza zamówiła pstrąga ze smażonymi ziemniakami i surówką, Andrzej – smażony ser z frytkami. Kelner nabazgrał coś w swoim notesie i odpłynął w stronę kuchni, pozostawiając turystów zatopionych w wiklinowych fotelach.

– Miło tu – stwierdziła Iza, rozglądając się. – I tak ładnie pachnie. Jestem już strasznie głodna.

– Ja też – przyznał Andrzej. – Ależ ten kelner się grzebie...

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Lubiałam kiedyś gotować.

– Co się zmieniło?

– Dla jednej osoby się nie opłaca. – Cień przemknął po twarzy Izy. – Co cię sprowadza do Kazimierza? – zapytała, zmieniając temat.

– Urlop. Szukałem jakiegoś miłego miejsca, gdzie mógłbym odpocząć od pracy, i trafiłem tutaj. Jak dotąd miałem mnóstwo stresu zamiast odpoczynku.

– A co robisz?

– Jestem fotoreporterem.

– A jakiej gazety?

Andrzej ruchem głowy wskazał grubego jegomościa kilka stolików dalej. Obok jego talerza leżało czasopismo.

– Och... – Iza była pod wrażeniem.

W tym momencie nadszedł kelner, ucinając dyskusję o życiu zawodowym Andrzeja.

– Gdy leżałeś w rowie, zauważyłam krakowską rejestrację. Zawsze chciałam tam mieszkać.

– To piękne miasto – odparł Andrzej, próbując nabrać na widelec kawałek rozciągliwego sera. – Ale spowszedniałoby ci.

– Dlaczego tak myślisz?

– Urodziłem się w Krakowie. Nie dostrzegam już tego, czym zachwycają się przyjezdni. Każdy, kto decyduje się zamieszkać w Krakowie, po pewnym czasie obojętnieje na uroki miasta. A turyści bywają irytujący. W lecie trudno znaleźć wolne miejsce w knajpce gdzieś koło rynku.

– Nie powiesz chyba, że Kraków w ogóle na ciebie nie działa.

– Owszem, działa. Ale nie tak jak na ludzi, którzy widzą to miasto po raz pierwszy. Mam kilka swoich ulubionych miejsc. Nic ponadto.

– Co zrobiłeś z psem? – Iza znów z uśmiechem zmieniła temat.

– Został w pensjonacie. Spodobał mu się ogródek. A ty? Też jesteś na urlopie? – zapytał Andrzej.

– Tak. Znajomi polecili mi to miejsce. Przyjechałam trzy dni temu. Moglibyśmy razem pozwiedzać okolicę, jeśli chcesz.

Andrzej był zaskoczony. Zastanawiał się przez chwilę, ale szybko stwierdził, że podoba mu się i propozycja... i dziewczyna.

– Bardzo chętnie – powiedział w końcu. – Obawiałem się, że tylko Adi i przewodnik turystyczny będą dotrzymywać mi towarzystwa.

Zmierzch już zapadał nad Kazimierzem, gdy poprosili o rachunek.

ROZDZIAŁ 3

Egipt, 3 000 p.n.e.

Kapłan Świątyni Bytu, zwanej również Świątynią Horusa, przemierzał ulice miasta szybkim krokiem. Było gorąco, znad pustyni wiał suchy wiatr i na łysej czaszce kapłana perlily się krople potu.

Przeciął targ, zanurzając się na kilka chwil w zawodzące głosy handlarzy zachwalających swoje towary, po czym skierował kroki w wąską, długą uliczkę. Sandały stukały rytmicznie o pokryty piaskiem bruk. Mieszkańcy Behdet pozdrawiali go, gdy ich mijał. Mimo niezbyt wysokiego stanowiska w hierarchii kapłanów cieszył się w mieście sporym szacunkiem.

Spieszył się. Wezwanie od arcykapłana brzmiało jednoznacznie: natychmiast.

W końcu wyszedł na kolejny plac, większy od targowego i nie tak zatłoczony. Nie było na nim handlarzy, nie było zgiełku, który z takim zapalem wzniecali. Otaczały go niskie domy, a na samym środku stała Świątynia. Kształtem przypominała pomniejszoną wersję zikkuratu. Różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do babilońskich świątyń, w których do głównego ołtarza na szczycie schodkowej piramidy prowadziły zewnętrzne schody, w tej budowli ołtarz znajdował się wewnątrz, a do Świątyni wchodziło się przez bogato rzeźbione odrzwia znajdujące się na poziomie ulicy. Fronton otoczony był kolumnadą sięgającą pierwszego stopnia małej piramidy.

W cieniu po obu stronach wejścia stali uzbrojeni we włócznie strażnicy. Sefian minął ich obojętnie i wkroczył w przyjemny chłód Świątyni.

Wnętrze tonęło w półmroku. Rozświetlały je promienie słońca wpadające przez wąskie okna oraz pochodnie płonące w uchwytych wiszących na ścianach i kolumnach. Kolumny otaczały rozległą komnatę z trzech stron. Na wprost wejścia, mniej

więcej w połowie szerokości Świątyni, mur odgradzał ogólnodostępną część budowli od prywatnych komnat arcykapłana i kilku kapłanów wyższych rangą. Przechodziło się tam przez wąskie i niskie drzwi. Przed ścianą stał pięciometrowy posąg Horusa zwrócony w kierunku wiernych, a jego surowy wzrok przeszywał każdego, kto przestąpił próg Świątyni. Przed posągiem również stali uzbrojeni strażnicy, na pokaz raczej, ponieważ potężna magia chroniła tę budowlę.

Minął wartowników, otworzył drzwi i wspiał się na schody. Po chwili stał w progu przestronnej komnaty arcykapłana.

– Witaj, Sefianie.

– Wzywałeś mnie, panie.

Oprócz wiekowego Merukesa, najwyższego kapłana Świątyni Horusa, we wnętrzu znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn. Wszyscy jak na komendę odwrócili się w stronę drzwi. Sefian rozpoznał dwóch z nich, byli to zaufani zastępcy arcykapłana. Trzeciego nie znał.

– Zostawcie nas, proszę – powiedział Merukes.

Trzej mężczyźni bez słowa podnieśli się ze swoich miejsc i wyszli. Obcy rzucił Sefianowi przenikliwe spojrzenie, mijając go w drzwiach.

– Podejź – rzekł arcykapłan, zbliżając się do okna. – Co widzisz?

U jego stóp miasto przypominało popękany płaskowyż, poprzecinany wąwozami i kanionami wąskich oraz szerokich ulic, biegnących między ostrymi stokami budynków. Gdzieś tam fragment kolorowego materiału znaczył zakład rzemieślniczy bądź stragan kupca. Ludzki gwar przypominał brzęczenie much w senne popołudnie. Dalej aż po horyzont rozciągały się gorące piaski, które wydawały się poruszać niczym morskie fale w nagrzanym powietrzu.

– Miasto, ludzi. – Sefian stanął o krok za Merukesem. – I pustynię za miastem.

– Trudno odmówić ci racji – odparł arcykapłan. Sefian nie mógł tego widzieć, ale odniósł wrażenie, że Merukes uśmiechnął się delikatnie. – Ja zaś widzę oazę spokoju, ładu i porządku, w którego centrum znajduje się ta Świątynia. Usiądź.

Sefian posłusznie zajął krzesło za niskim stołem. Po chwili Merukes odwrócił się i również usiadł.

– Czy wiesz, kim był człowiek, którego przed chwilą ujrzałeś w towarzystwie moich zastępców? – zapytał.

– Nie, panie. Widziałem go po raz pierwszy w życiu.

– To emisariusz. – Ciężki łańcuch złożony z prostokątnych nefrytowych płytek obramowanych złotem zadźwięczał, gdy arcykapłan pochylił się w stronę Sefiana. W płytkę znajdującą się pod brodą wtopiony był złoty skarabeusz.

Sefian nie odpowiedział. On również nosił podobny łańcuch ze skarabeuszem, jednak mniejszy i wykonany z lapis-lazuli otoczonego złotem.

– Emisariusz – powtórzył Merukes. – A poza tym zaufany człowiek faraona. Przybywa z Inebu-Hedż. Faraon jest zaniepokojony.

Te słowa wywarły na Sefianie ogromne wrażenie. Faraon, człowiek, który zjednoczył Egipt i władał nim niepodzielnie. Jego niepokój, którego wyrazem była obecność posłańca, mógł dotyczyć tylko jednego.

– Chodzi o Rydwan.

– Tak – przyznał Merukes. – Faraon dokonał z jego pomocą wielkiej rzeczy. Wielu powiedziałoby, że wręcz niemożliwej. Nie wszyscy są jednak z tego powodu zadowoleni.

– Mówisz, panie, o wyznawcach Seta.

– Tak. Słudzy złego brata Horusa rosną w siłę. Zagrożona jest równowaga Ładu i Chaosu. Tym właśnie martwi się faraon i to przekazał mi dziś ustami swego posłańca.

– Dlaczego więc wezwałeś mnie, panie?

– Ponieważ przeznaczone ci jest odegrać rolę w tym odwiecznym starciu Ładu i Chaosu, Bytu i Niebytu.

– Nie rozumiem.

– Wezwałem cię tu, aby powierzyć ci zadanie. Rydwan Bogów musi zniknąć. I to szybko, nim położą na nim łapy słudzy Seta. Widzisz, Sefianie, oni wiedzą. W jakiś sposób się dowiedzieli, że Rydwan wciąż istnieje i że jest w naszym posiadaniu. Musisz więc zabrać stąd Rydwan i przekazać go faraonowi. Później zajmą się nim inni ludzie, wybrani osobiście przez faraona. Ukryją go. Wszystko zostało już przygotowane.

– Dlaczego ja? Dlaczego nie powierzysz go, panie, któremuś z wyższych kapłanów bądź samemu emisariuszowi?

– Ponieważ oni będą pilnie obserwowani. Ty, Sefianie, jesteś naszą tajną bronią. Jesteś nie tylko kapłanem, ale i magiem. Jest w tobie ogromny potencjał, dzięki któremu pewnego dnia sięgniesz po najwyższe godności. Dlatego też Rydwan zostanie powierzony tobie. Wierzę w ciebie, Sefianie. Wierzę, że jesteś gotowy, że wykonasz to zadanie. Nie wolno ci mnie zawieść.

– Jak każesz, panie. – Sefian skłonił głowę.

– Wszystko się zmieni, gdy zniknie Rydwan – powiedział arcykapłan ze smutkiem.

– Panie?

– To wszystko, co widziałeś za oknem. Miasto, kraj. Wraz z ukryciem Rydwanu nasz świat ulegnie zmianie. Stare świątynie stracą na znaczeniu i upadną. Powstaną nowe, poświęcone nowym bogom, aż któregoś dnia Horus i Set utoną w morzu religii, a nikt nie będzie pamiętał, że kiedyś reprezentowali Byt i Niebyt. Zmieniają się miasta, ale nie ludzie. – Merukes zamilkł, aby po dłuższej chwili znów przemówić: – Wyruszysz jeszcze dziś w nocy. Staw się w Świątyni po zmroku, wszystko będzie gotowe.

– Co z moim synem? Nie mam go z kim zostawić.

– Świątynia zaopiekuje się nim do twojego powrotu.

– Tak, panie.

– A teraz już idź. Mamy dużo do zrobienia.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

Znajda to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłań?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworowszy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy

rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Stare legendy czasem ozywają, by zawiązać ludzką wyobraźnię. Na żydowskim Kazimierzu czają się one tuż pod powierzchnią życia, wystarczy tylko zeskrobać nieco tynku z zaniedbanych ścian, poruszyć luźną cegłę, wejść do małego antykwariatu pełnego rupieci, by znaleźć się w innej epoce i czasie minionym. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

Marek Hemrling: PILLON I SYNOWIE

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmagają się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: *Biały tygrys* i *Niebieski smok* (nowe wersje) oraz *Czerwony ptak* i *Czarny żółw* (premiery).

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY cykl Teatr węży, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cienie* oraz *W mocy wихru*.

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Kontynuacja losów bohaterów w drugim tomie cyklu *Re-Horachate. Martwy chłopiec*.

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięciosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

Martyna Goszczycka: ODRODZENIE

Pierwszy tom Sagi Wizji Paradoksalnych.

Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem. Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plage...

Odrodzenie to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji i rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debiutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni, ciekawie łącząc horror, fantasty i powieść z gatunku płaszczka i szpady.

Kontynuacja losów Haru i Plage w drugim tomie Sagi pod tytułem *Potępienie*.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...